

Horoszczyk, Bolesław

Nasz starachowicki wielki alert

Przegląd Pruszkowski nr 2, 21-30

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nasz starachowicki wielki alert

We wrześniu 1987 roku miała być zorganizowana wystawa "Harcerstwo w Starachowicach w latach 1916-1945. Druh Zygmunt Lewiński, mój drużynowy z Drugiej Drużyny Harcerzy im. Mariana Langiewicza, opiekun "Żubrów" i komendant konspiracyjnego harcerstwa /Szare Szeregi/ w Starachowicach, zainspirował mnie do napisania wspomnień związanych z tematem wystawy.

W dniu 24 maja 1987 roku Druh Zygmunt Lewiński odszedł na Wieczną Wartę.

Jego pamięci wspomnienia te poświęcam.

STARACHOWICKI WRZESIEŃ

Nadszedł dzień 1 września 1939 roku. Rankiem hitlerowskie Niemcy bez wypowiedzenia wojny zaatakowały nasz kraj.

Starachowice były przygotowane do obrony. Ze względu na produkcję broni w Zakładach Starachowickich, stałe było tu wojsko. Już 27 sierpnia major Trzebiński Komendant Obrony Miasta ogłosił stan ostrej gotowości bojowej. Na wzgórzach rozstawiono działa przeciwlotnicze. Część dział obsługiwali nasi starsi koledzy z Zakładowego Oddziału OPL.

"Żubry" i starsi harcerze z innych drużyn biorą czynny udział w obronie. Kopią stanowiska dla obsługi dział, pełnią służbę łączności między ważnymi punktami w mieście. Również na terenie całego miasta powstają schrony dla ludności i rowy, mające chronić przed bombami nieprzyjaciela i przed odłamkami pocisków naszych dział. Służby ostrzegania co pewien czas ogłaszają alarm przeciwlotniczy.

Po kilku minutach na tle nieba pojawiają się nieprzyjacielskie samoloty. Mkną w górę pociski "Boforsów" i rwą się w pobliżu maszyn wroga. Praca w Zakładach idzie pełną parą. Pracuje też druga zmiana. Kilka bomb zrzucili Niemcy w pobliżu stacji kolejowej, ale Zakłady nie były bombardowane. Czy Niemcy obawiali się naszyc "Boforsów", czy też oszczędzali Zakłady licząc, że wkrótce uruchomią w nich produkcję?

*/ Bolesław Horoszczyk od 12 roku życia harcerz II Drużyny Harcerzy im. Mariana Langiewicza w Starachowicach. We wrześniu 1939 r. jako członek Pogotowia Harcerzy uczestniczył w obronie Starachowic. W czasie okupacji niemieckiej członek Szarych Szeregów, od 1941 r. w Związku Walki Zbrojnej / Armii Krajowej w stopniu kaprala. Od 1983 r. hm Horoszczyk jest mieszkańcem Pruszkowa.



Druhowi harcmistrzowi
BOLESŁAWOWI HOROSZCZUKOWI
ostatniemu z pierwszych
prawdziwych „ZUBRÓW”
jeszcze 100 lat zdrowia i szczęścia
życzy w 75-tą rocznicę urodzin

HARCERSKI KRĄG SENIORÓW
„ŁYSICA - ZUBRY”

E. Gajda
Łobowski *Szwed*
Witew *Winiarski*
Wierzbicki *Misztal*
Wojcik *Wojcik*

STARACHOWICE, 26 marca 1997 r.

Janusz

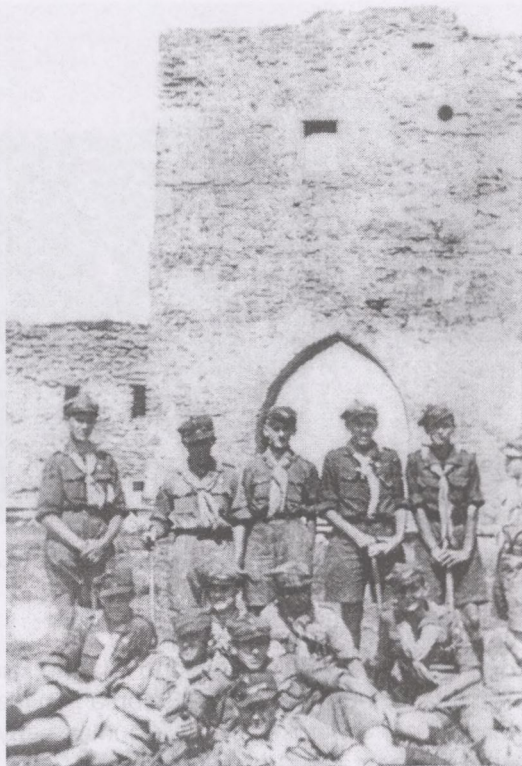


Wiosna 1939. Dziesiąta Drużyna Skautów im. gen. Orlicz - Dreszera na zajęciach w czasie szkolenia w zakresie Przystosobienia Wojskowego

6 września wczesnym popołudniem, bez uprzedniego alarmu, na wzgórzu Trzech Krzyży pod Wanacją rozległy się strzały "Boforsa". To nieprzyjacielski podjazd przedarł się od gór Świętokrzyskich. Z pomocą artylerzystom biegnie oddział Samoobrony Zakładów Starachowickich i otwiera ogień do spieszonych motocyklistów niemieckich. Jeden samochód pancerny zostaje uszkodzony pociskiem z działa, a Niemcy, otrzymawszy ogień karabinowy, wycofują się. Rozwścieczeni oporem podpalają zabudowania pobliskiej Wanacji i mordują kilkunastu bezbronnych mieszkańców.

Strzały na Wanacji wywołały w mieście popłoch. Komenda Obrony Miasta opuściła Starachowice. Pomieszczenia Powiatowej Komendy Uzupełnień stoją puste. Nie ma już starosty ani policji.

Nazajutrz magazyn Zakładów Starachowickich zostaje wysadzony w powietrze. Działa obrony przeciwlotniczej wyruszają przez Tychów na Iłżę. Opuszcza miasto również jednostka obrony Zakładów oraz grupa uczniów Szkoły Zawodowej z porucznikiem Starewiczem. Jeszcze tylko grupa robotników i harcerze niszczą środki łączności na terenie miasta i Zakładów. Harcerze zbierają porzuconą przez strażników fabrycznych broń, by ją ukryć.



Lipiec 1939. "Żubry" w Krzemieńcu na tle ruin zamku na Górze Królowej Bony

KONSPIRACYJNE HAR- CERSTWO W STARA- CHOWICACH

Wkrótce Starachowice przechodzą w ręce Niemców. Z Tadkiem Marczakiem wynosimy dokumenty z lokalu Komendy Hufca znajdującego się w budynku częściowo zajęтым przez jednostkę wojsk niemieckich. W tym czasie druhowie Mieczysław Lisowski, Józef Kutrowski i Franciszek Kmiecik wynoszą sprzęt obozowy z naszego magazynku na Kolonii Robotniczej. Wszystko to zostaje zabezpieczone. Harcerstwo w mieście schodzi do podziemia. My "Żubry" pracę w konspiracji uważamy za dalszy ciąg pełnienia harcerskiej służby. Ani na chwilę przecież nie przestaliśmy być harcerzami. Komendantem Tajnego Harcerstwa w Starachowicach

zostaje druh Zygmunt Lewiński. Ja zostaję łącznikiem i kolporterem prasy podziemnej, odbieranej bezpośrednio od druha Lewińskiego. Dostarczam ją we wskazane miejsca. Początkowo były to "Ostatnie Wiadomości" (radiowe), potem także "Pobudka". Dostaję adres na skrynkę kontaktową w Ilży u "Rubinka". Hasło podane mi przez druha Lewińskiego brzmiało: "Czy ma pan jeszcze tę zieloną bluzę do sprzedania?", a odzew: "Niestety już sprzedałem", ale mam jeszcze granatową.

Zimą 1939/40 dostaję od druha Lewińskiego polecenie przewiezienia do Wąchocka namiotów i sprzętu obozowego Hufca. Wieziemy je z Tadkiem Marczakiem sankami korytem zamrzniętej rzeki. Przed Wąchockiem czeka druh Czesiek Kurczyński. Poleca nam iść za sobą w pewnej odległości. Tak przeszliśmy Wąchock i weszliśmy do wskazanego budyn-

ku. Sprzęt ten trafił prawdopodobnie do plutonu "Warszawiaków" otoczonego w rejonie Zimnej Wody i Św. Jacka. Czesława Kurczyńskiego znalem nie tylko jako drużynowego z Wąchocka. Pracowaliśmy razem w Zakładach, na zmianę na jednej maszynie. Spotykałem go później jako żołnierza ze Zgrupowania "Nurta". Używał pseudonimu "Kogut", dla niego wyjątkowo trafnego.

W tym czasie przybył do druha Lewińskiego Komendant Chorągwi Radomskiej, druh Medyk ps. "Fizyk". Na jego polecenie druh Lewiński odebrał ode mnie przysięgę konspiracyjną. Hufiec nasz nazywany Rojem, otrzymuje kryptonim "Puszka".

W kwietniu 1940 roku cała nasza grupa harcerska wstąpiła w szeregi ZWZ /Związku Walki Zbrojnej/ tworząc samodzielny oddział. Nadal pełniłem funkcję łącznika i kolportera, mając stałe punkty kontaktowe. Należało jednak podjąć jakieś zatrudnienie. W uruchomionych przez Niemców Zakładach nie chcieliśmy pracować przy produkcji amunicji. Druh Lewiński załatwił nam z Marczakiem pracę w leśnictwie Bugaj. Odtąd byliśmy robotnikami leśnymi i posiadaliśmy odpowiednie zaświadczenia, które ułatwiały nam poruszanie się i wykonywanie naszych konspiracyjnych zadań.

W marcu 1941 roku został aresztowany leśniczy Nowicki, a wkrótce po nim nasz komendant druh Zygmunt Lewiński. W związku z tym przez pewien czas w naszej pracy konspiracyjnej nastąpiła przerwa. Z lękiem oczekiwaliśmy dalszych aresztowań. Na szczęście druh Lewiński nie pociągnął za sobą nikogo.

W DRUŻYNIE "DRUCIKÓW"

Po pewnym czasie, mając jako łącznik kontakty z ZWZ, otrzymałem nowy przydział do pracy podziemnej. Zostałem przydzielony do plutonu łączności. Dowódcą plutonu był porucznik "Las" /Zbigniew Spineter/, który polecił mi zorganizować drużynę łączności i objąć jej dowództwo.

U dowódcy plutonu zetknąłem się z Wenkiem Kuśmierzem, również "Żubrem", który został dowódcą drugiej drużyny plutonu łączności. Przybraliśmy pseudonimy. Wenek Kuśmierz - "Gołąbek", a ja - "Błaszka". Drużyny nasze, będąc drużynami wojskowymi, działały systemem harcerskim. W drużynie "Gołąbka" byli harcerze: Wenek Kuśmierz i Jan Życiński z "Żubrów" oraz Włodek Kutrowski z II drużyny. Organizując drużynę łączności werbowałem chłopców młodszych, nieorganizowanych. Na dowódców sekcji wybrałem Jerzego Najtharda "Szumawę" i Kazimierza Kapturkiewicza "Chochlika". Poleciłem im zwerbować po czterech chłopców z grona swoich kolegów, z którymi tworzyliby sekcję.

Drużyna łączności ZWZ - AK składała się z dwóch sekcji po pięć osób plus dowódca drużyny. Razem jedenaście osób. Od obu sekcji odebrałem przysięgę konspiracyjną. Każda z sekcji składała przysięgę w innym miejscu i czasie. Obowiązywały zasady konspiracji. Członkami drużyny byli chłopcy w wieku 17-18 lat, zatrudnieni w Zakładach, gdzie i ja rozpocząłem pracę. Po aresztowaniu druha Lewińskiego i leśniczego Nowickiego przerwałem pracę w lesie i "Szarych Szeregach" tajnego harcerstwa. Wprawdzie druh Mietek Lisowski, następcą druha Lewińskiego proponował mi dalszą pracę, ale miałem już wtedy przydział do plutonu łączności.



Lipiec 1939. Bolesław Horoszczyk
w Krzemieńcu

W drużynie nie wprowadzałem rygorów wojskowych. Starłem się utrzymywać harcerski charakter drużyny i postępować jak instruktor harcerski. Panowała atmosfera przyjaźni i koleżeństwa. Starłem się być przyjacielem wszystkich chłopców. Znałem ich kłopoty osobiste i rodzinne. Wspólnie spędzaliśmy wolny czas i prowadziliśmy rozmowy w pracy. Zajęcia w terenie miały harcerski charakter. Unikałem wydawania kategorycznych rozkazów. Polecenia miały formę koleżeńską, a do wykonania zadań brałem przeważnie ochotników. Jeżeli akcja wymagała uczestnictwa wię-

cej niż dwóch osób, brałem w niej bezpośredni udział. Starłem się swoim postępowaniem dawać dobry przykład w wykonywaniu obowiązków.

Chłopcy rwali się do bezpośredniej walki. Wciąż domagali się pójścia do oddziału partyzanckiego. Starłem się tłumaczyć im, że obecnie mają inne zadanie, nie mniej ważne od walki z bronią w ręku. Szkolono ich na czas ogólnego powstania w kraju. Niezależnie od zajęć prowadzonych przeze mnie chłopcy odbywali również szkolenie wojskowe i w zakresie łączności przewodowej.

Byliśmy drużyną "Drucików". Wykładowcami byli zawodowi oficerowie i podoficerowie WP. Ćwiczenie z musztry i znajomości broni prowadził plutonowy zawodowy WP Kazimierz Gawroński ps. "Orzeł". Z zakresu łączności wykładowcą był zawodowy podoficer "Skala", pracownik centrali telefonicznej w Zakładach Starachowickich. Inne przedmioty wykładali: ppor. "Selim", pchor. "Wulkan", sierż. "Kruk" i inni.

Na zakończenie szkolenia odbyliśmy całodzienne ćwiczenia w lasach pomiędzy wsiami Seredzice i Krzewa. Miejscem spotkania był las przy linii wysokiego napięcia, prowadzącej ze Starachowic do Radomia. Przy określonym słupie, pojedynczo zbieraliśmy się w gęstych zaroślach i oczekiwaliśmy przybycia oddziału ochrony pod dowództwem por. "Orlicza". Nocą przemaszzerowaliśmy w rejon ćwiczeń, gdzie złożyliśmy rowery i przez cały dzień ćwiczyliśmy budowę linii telefonicznej, obsługę łącznicy i wojskowych aparatów telefonicznych, zarówno fonią, jak i za pomocą brzęczyka, alfabetem Morse'a. Był to kurs podoficerski, po którego ukończeniu otrzymałem stopień kaprała.

Niezależnie od szkolenia mającego na celu przygotowanie nas na wypadek ogólnego powstania, pełniliśmy naszą codzienną służbę. Nasza drużyna miała do obsługiwanego tereny północne powiatu. Trasy nasze przebiegały od Skarzyska Kościelnego, poprzez Grzybową Górę, Gadkę, Mirzec, Tychów, Seredzice, Iłżę, Prędocin, aż do Jawora Soleckiego. Teren ten pokrywał się z podobwozem "Dolina" /Iłża/. Ale trasy te nie były jedynym terenem naszego działania. Jeździłem też do Pawłowa i Chybic w stronę Gór Świętokrzyskich. Drużyna druha Kuśmierza "Gołąbka" działała w południowej części powiatu, po Góry Świętokrzyskie.

Może wydawać się dziwne, że służbę łączności pełnili chłopcy, a nie dziewczęta. Należy jednak wziąć pod uwagę, teren w jakim działaliśmy. Łącznicy pokonywali rowerami duże odległości. Na przykład ze Starachowic do Jawora Soleckiego jest około 40 km. W obie strony trzeba było w ciągu dnia pokonać odległość 80 km, z tego większość leśnymi drogami. Po takiej jeździe rowerowej należało stanąć do pracy w Zakładach na osiem godzin, a często na godzin dwanaście.

Był czas, że próbowano wykorzystać do tego celu łączniczki. Pewnego dnia otrzymałem polecenie wysłania do Iłży łącznika, któremu miała towarzyszyć dziewczyna - łączniczka. Pojechał "Zawiślak" /Henryk Ruszkiewicz/. Łączniczka dojechała rowerem do Iłży, ale nie miała siły aby wrócić tego samego dnia. Ponieważ trzeba było przewieźć aparat radiowy, "Zawiślak" wziął torbę od dziewczyny, włożył w nią aparat, przysypał jabłkami i pojechał sam do Starachowic.

Losy ludzi zależą nieraz od przypadku. Dojeżdżając do Starachowic, kierowany impulsem "Zawiślak" postanowił ukryć aparat w lesie. Schował go pod mostkiem na małej bocznej drodze. Następnie wsiadł na rower i pojechał dalej. Na skraju Starachowic, od strony Bugaju, w drewnianym budynku szkoły, stała niemiecka jednostka. Przed bramą stał wartownik. Zatrzymał on "Zawiślaka", zajrzał do torby, wysypał jabłka i pustą torbę zwrócił "Zawiślakowi". W tym dniu pracowałem na pierwszą zmianę, a wymieniał mnie "Zawiślak". Gdy przyszedł do pracy, podeszedł do mnie, pró-

bował coś mówić i przez dłuższą chwilę nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Dopiero później opowiedział mi swoją przygodę.

Pracowałem wtedy na szlifierni wydziału narzędziowego. Razem ze mną pracowali tu "Szumawa" /Jerzy Nejthardt/ i "Zawiślak" /Henryk Ruszkiewicz/. W szlifierni pracował również plutonowy "Orzeł" /Kazimierz Gawroński/ oraz młodszy bracia druha Henryka Kliczewskiego: Wacek i Sewek, którzy po zamordowaniu przez gestapo druhów: Kliczewskiego i Cieleckiego zniknęli bez śladu. Pracował tu także Olek Kosiór, który wkrótce przeszedł do oddziału "Szarego". Brygadzystą w szlifierni był Henryk Gawroński, brat "Orła", tkwiący również w konspiracji.

Wyjazdy w teren wykonywaliśmy w zależności od tego, który z nas miał nocną zmianę, natomiast wybierając się na akcje nocne urządzaaliśmy się tak, aby wszyscy z nas pracowali na pierwszą zmianę. W narzędziowni poza szlifiernią pracowali dalsi członkowie naszej drużyny: "Skiba" (Tadeusz Biesiada) i "Janisław" (Jan Madejski). Częste dyżury elektryka pełnił w narzędziowni "Kuna" (Marian Mróz).

Jak już wspominałem, poważniejsze zadania brałem na siebie, starając się oszczędzać młodych chłopców. Takie wyjazdy służbowe odbijały się bowiem ujemnie również na rodzicach, a szczególnie na matkach. Pewnego razu otrzymałem polecenie odebrania w określonym dniu dwóch aparatów telefonicznych wojskowych AP-27 z miejscowości Prędocin. W dniu wyjazdu dowiedziałem się, że rano w sąsiedztwie zostali zastrzeleni przez żandarmerię Jurek Skowron, harcerz z drużyny gimnazjalnej, wraz z matką i jego wujek Król z żoną. Ojca Skowrona, trzech Śliwińskich - braci Władysława i Wacława oraz Lucjana syna Władysława, żandarmi zabrali ze sobą. Z tego powodu matka nie chciała mnie puścić w drogę. Ja jednak pojechałem do Prędocina koło Iłży. Zapakowałem tam oba aparaty do worka, razem z ziemniakami i wyjechałem. Po kilku kilometrach spadła mi z koła opona i cała dętka tak się rozerwała, że nie było co kleić. Musiałem jednak wrócić do domu, przede wszystkim ze względu na matkę, a także na okoliczność stawienia się na nocną zmianę do pracy. Przeszedłem się więc pieszo około dwudziestu kilometrów, prowadząc uszkodzony rower, obciążony ziemniakami i aparatami wojskowymi. Szedłem już na skróty leśnymi ścieżkami. Przyszedłem do domu późnym wieczorem i poszedłem do pracy. Po moim wyjściu matka znalazła aparaty i zakopała je w ziemi. Dopiero teraz potrafię ocenić co przeżyły nasze matki, a przed matką nic ukryć się nie dało.

Gdy po upadku Powstania Warszawskiego, po rozwiązaniu koncentracji i zdemobilizowaniu przeważającej części stanu oddziałów partyzantycznych, w ostatnich miesiącach 1944 roku młodzi ludzie powrócili do domów, lecz nadal musieli się ukrywać. Dzielnica, w której mieszkałem, mia-

ła dojazd właściwie tylko z jednej strony, wschodniej, gdzie obecnie znajduje się stacja kolejowa Starachowice Zachodnie. W tej sytuacji nasze matki już od godzin nocnych na zmianę pełniły wartę, pilnując czy nie jadą Niemcy na łapankę. Wszyscy, którzy wrócili z lasu oraz pozostali, mieli w swoich domach lub u sąsiadów kryjówki. Ja również miałem leże w kuchni pod podłogą. Większą kryjówkę, na kilka osób, mieliśmy u sąsiada. Przez kilka miesięcy, aż do wkroczenia Rosjan, matki strzegły naszego bezpieczeństwa.

Wróćmy jednak do sprawy aparatów wojskowych z Prędocina. Na drugi dzień, po powrocie z pracy, nie znalazłem aparatów. Długo, długo prosiłem matkę, aby wskazała mi miejsce ich zakopania.

Wkrótce zachorowałem na dur brzuszny. Ze względów konspiracyjnych nie pozwolono umieścić mnie w szpitalu. Zresztą do szpitala zakaźnego, który mieścił się w Iłży, było 22 km. Należałoby je przebyć furmanką ponieważ w tamtych czasach nie było innego środka lokomocji. Leczył mnie zatem młody lekarz z konspiracji Kołodziejczyk, który późnymi wieczorami przyjeżdżał do mnie rowerem. Przez kilka tygodni miałem temperaturę dochodzącą do 40oC. Wkrótce wywiązało się zapalenie płuc. Brakło leków. Chłopcy z mojej drużyny zdobywali leki najczęściej w Wąchocku. Tak przeleżałem parę miesięcy. Odwiedzali mnie moi chłopcy, a nawet miałem odwiedziny z lasu.

Po kilku miesiącach choroby znów włączyłem się w nurt pracy konspiracyjnej. Otrzymaliśmy zadanie przecinania łączności zarówno przy linii kolejowej jak i przy szosie. Do jego wykonania otrzymałem dwie pary cęgów do cięcia drutu i jeden komplet słupopółzów. Na akcję wybrałem się z czterema chłopcami, w tym z dwoma dowódcami sekcji, to jest z "Szumawą", "Chochlikiem" i "Kuną", który był z zawodu elektrykiem. Brał również udział "Zawiślak". Na miejsce akcji wybraliśmy odcinek Wąchock - Marcinków przy torach oraz odcinek Wąchock - Parszów przy szosie. Klucząc doszliśmy na miejsce od strony lasu za Wąchockiem. Przy torach ciągnęła się pajęczyna kilkudziesięciu przewodów, umieszczonych na poprzecznych drążkach wysoko na słupie. Do przecięcia tych przewodów wyznaczyłem elektryka "Kunę". Pozostałą trójką przeszliśmy przez tory, przeprawiliśmy się przez rzekę Kamienną i przez pola powędrowaliśmy na szosę, gdzie wybraliśmy miejsce na wzgórzu, aby z daleka widzieć nadjeżdżające samochody. Ruch na szosie był duży, więc musieliśmy długo czekać. Wreszcie uznaliśmy, że można zaczynać. Pierwszy zakładam słupopółzy i usiłuję wdrapać się na wysoki słup. Echo daleko niesie uderzenia słupopółzów. Nie bardzo mi to idzie, więc postanawia spróbować "Chochlik". Złaź - mówi. Potem szybko zdejmuje buty, zakłada na nogi pasek od spodni i za chwilę jest już przy wierzchołku słupa. Dobiega nas świst

przecinanego drutu, a po nim następnych i po dwóch minutach zadanie mamy wykonane. Teraz szybko wracamy do torów. Tam też akcja już zakończona. Teraz pojedynczo wracamy do Starachowic, klucząc lasem i polami, zaś rano wszyscy stawiamy się do pracy.

Zbliża się koniec lipca 1944 roku. Wśród Niemców odczuwa się niepokój i zamieszanie. Linia frontu jest coraz bliżej. "Szumawa" wysłany z rozkazem do "Orlicza", zamieszkałego w majątku Jawór Solecki, wraca i melduje, że do "Orlicza" nie dotarł, gdyż w Jaworze Soleckim znajduje się obecnie połowy niemiecki szpital. Jadę sam. W ubraniu roboczym przejeżdżam rowerem bramę majątku. Mijam stojącego wartownika i kieruję się do domku ogrodnika, gdzie mieszkał "Orlicz". Nie zastaję go, ale znajdująca się tam dziewczyna doprowadza mnie do wioski, gdzie mam czekać na "Orlicza". Z wioski widać dwór i park dworski, w którym pełno namiotów ze znakiem "Czerwonego Krzyża". Po paru minutach zjawia się "Orlicz". Przekazuję mu rozkaz. Zadowolony z wykonania zadania wracam do Starachowic. Odległość między Jaworem Soleckim a Starachowicami wynosiła około 40 km. W tej części powiatu, poza rowerem, nie było w tym czasie innych możliwości komunikacyjnych.

W okolicy Starachowic coraz większe nasycenie terenu jednostkami wojsk niemieckich. Otrzymuję polecenie, aby z Grzybowej Góry pod Skarżyskiem zabrać radioodbiornik i przewieźć go na kolonie Majówka w Starachowicach. Jedziemy w trójkę: "Błaszka", "Szumawa" i "Kuna". Leśną drogą dojeżdżamy do Grzybowej Góry. Chłopców zostawiłem na skraju lasu, a sam udałem się do wskazanego gospodarstwa. W domu tym kwatrowali Niemcy. Przy pomocy gospodarza udało mi się jednak przetransportować odbiornik na skraj lasu. Leśną drogą, omijając Wąchock, dowozimy go do "Szumawy", zamieszkałego na kolonii Orłowo. Ponieważ był już wieczór i zbliżała się godzina policyjna, pozostawiliśmy tam odbiornik na noc. Nazajutrz rano załadowaliśmy go do worka i na rowerze przewieźliśmy pod wskazany adres, na Majówkę. Przewożącego trzeba było ubezpieczyć, ponieważ w mieście panował ruch wojsk niemieckich i duże podniecenie. Bez przerwy przeprowadzane były aresztowania i łapanki. Była to nasza ostatnia akcja w konspiracji.

Stwierdzamy, że Niemcy ewakuują Zakłady. Nie pracujemy już, ale czując się zagrożeni, postanawiamy iść do lasu. Całą drużyną zebraliśmy się w lesie ratajskim. Tu dołączyła do nas drużyna "Gołąbka" i razem rozłożyliśmy się biwakiem w lesie, w naszym "Obozie Langiewiczza". Tak skończył się okres naszej służby w konspiracji. Naszych działań i akcji było znacznie więcej. Podałem tylko najbardziej charakterystyczne, najbardziej oddające atmosferę tamtych dni.